

Bogumiła Gajowiec

# Mieleccy Żydzi - obrazki z życia i gehenny

### Między wojnami

Z mieleckich Żydów, którzy zostali zamordowani, i tych, którzy przeżyli zagładę, znałam tak naprawdę tylko jedną osobę, z racji bliskiego sąsiedztwa po wojnie, i z innych kontaktów. Osoba ta, chyba tylko jako jedyna z ocalonych, wróciła do swego rodzinnego domu i przeżyła w nim długie lata, prawie do śmierci. Była w Mielcu znana, powszechnie znano jej pochodzenie i dramatyczne przeżycia, miała wielu przyjaciół, jej dzieci chodziły do mieleckich szkół, także miały licznych przyjaciół i kolegów. Innych Żydów znałam tylko z bardzo mglistych wspomnień dzieciństwa. Pamiętam czarną długą brodę Mojżesza Weissmana i bardzo otyłego piekarza o imieniu Lejbe, siedzącego zawsze w otwartych drzwiach piekarni na rogu obecnej ulicy Batorego i 3 Maja, gdy z rodzeństwem pomagaliśmy mamie zanieść w koszykach chleby do pieczenia, wyrobione z ziemniaków i żyta zmielonego przez ojca i brata w żarnach ukrytych przed Niemcami w stodole zaprzyjaźnionej rodziny w Złotnikach. Po roku 1942 chleby nosiliśmy nadal (wtedy, gdy było je z czego upiec), ale otyłego Lejbe już nie było. Inni Żydzi także stoją mi przed oczyma, ale chyba już tylko jako twory wyobraźni na podstawie opowiadań i rozmów w rodzinie i w sąsiedztwie. Tak widzę poważną postać chyba 12-letniej dziewczynki Lajci Bilfeld, którą podobno rozszarpały psy (w Bełżcu?) i piękną młodzieńką blondynkę Ruchlę (Rachelę?) z domu Zuckerbrodt, zastrzeloną wraz z maleńkim dzieckiem na rękę, gdy ukrywała się gdzieś w Borku (ta zawsze kojarzy mi się z „Rachel, która oplakuje swe dzieci i nie da się utulić”, oraz z Madonną z Dzieciątkiem).

Mój świat, jako dziecka, zamykał się w zasadzie w okolicach dawnej „Strażnicy” i Gimnazjum, sięgał na północ do granic Złotnik, a w Złotnikach pod szkołę, na południu - do przewozu na Wisłocę i do Zawierzbia w Podleszanach, na zachodzie - do mostu, poprzez puste wówczas pola tzw. „Kazanówki”, na wschodzie - do piaszczystego tzw. „Rynku Zbożowe-

go” (na którym jest obecnie budynek starostwa i park). Tereny od obecnej Szkoły Podstawowej Nr 1 i kilku stojących za nią domów, aż do granic Złotnik, też stanowiły tylko pola mieszczan i folwarku plebańskiego, wraz z zabudowaniami.

Na głównych ulicach miasta, czyli obecnych ulicach Kościuszki i Mickiewicza, bywałam rzadko, w kilku znajomych domach, zawsze w obecności dorosłych. Wiadomo było, że prawie wszystkie kamienice w Rynku (za wyjątkiem dwóch), należały do Żydów. Podobnie było w uliczkach okalających Rynek i wychodzących z Rynku. Tylko ulica Kościuszki, od „Łojczykówki”, aż do ul. Wojsławskiej, zamieszkała była prawie wyłącznie przez polskich mieszczan i inteligencję. Podobnie na ulicy Mickiewicza, choć tutaj było parę kamienic należących także do Żydów, oraz szkoła wybudowana za pieniądze bogatego żydowskiego społecznika barona Hirscha z przeznaczeniem dla żydowskich dzieci, by nie ograniczały się tylko do wykształcenia zdobytego w szkołach prowadzonych przez rabinów.

W rejonie „Strażnicy” i Gimnazjum Żydów mieszkało niewielu. Był dom Bilfeldów przy obecnej ulicy Cichej oraz dom należący do trzech zamężnych córek właściciela młyna i tartaku Zuckerbrodta (obecna restauracja „Frezja”). Ponadto dom Żyda zwanego „Korzennikiem” przy ulicy Staszica i dwa domy przy ulicy Sobieskiego, nad dawniej przebiegającym tam kanałem (o jednym z tych domów mówiono, że należał do „Markusa” i była w nim garbarnia skór). W dalszej części ulicy Sobieskiego do Żydów należała chyba tylko kamienica na rogu ulicy Legionów. Żydowski przedsiębiorca budowlany kupił od mojej babki duży kawał ogrodu nad wspomnianym kanałem i wybudował tam piętrowy dom, który sprzedał następnie rodzinie Piliczów. Znałam nazwiska niektórych Żydów właścicieli sklepów w Mielcu, np. „Brandmanki”, u której kupowano najdroższe materiały tekstylne, wiedziałam, że córki bogatego właściciela kamienic Blattberga słyneły z urody. Po drodze do kościoła, od ul. Kilińskiego przez

Rynek, prawie na rogu obecnej ul. Krakowskiej, kupowało się u Żyda zwanego „Zonką” przeróżne drobiazgi galanteryjne, pasmanteryjne i inne artykuły codziennego użytku. (Nie znano nazwiska właściciela sklepu, „Zonką” go nazwano podobno z powodu zabawnego zdarzenia wynikającego z niezbyt dobrej znajomości przez niego polskiego języka, o czym opowiadano anegdotę).

Na rogu Rynku i ul. Kilińskiego była księgarnia i sklep papierniczy Graua. Tam za okupacji można było kupić tanie książki. Pamiętam między innymi tytuły: „60 potraw z kapusty” i „100 potraw z ziemniaków”, które przydały się naszej mamie, gdy babcia stanowczo odmówiła dalszego gotowania, stwierdzając, że „nie ma z czego”. Byli w Mielcu także żydowscy inteligenci, lekarze, prawnicy. Mamę leczył doktor Obrowicz. Żydami z pochodzenia byli też: doktor Gawendo i profesor gimnazjalny Joel Czortkower. Nazwisko prawnika Verstandiga poznałam dopiero po wojnie, gdy rozeszła się wieść o wymordowaniu dla rabunku jego rodziny ukrywającej się w jednej z podmieleckich wiosek.

### Rodzina Zuckerbrodtów

Dwa zdarzenia spowodowały, że poza sąsiedztwem, mam niektóre wiadomości o rodzinie kolejnych właścicieli młyna i tartaku przy ul. Legionów, ojca i syna Zuckerbrodtów. Ojciec Zuckerbrodt miał tylko jednego syna, któremu zostawił rodzinny interes, oraz kilka córek, które musiał wydać za mąż i wyposażyć. Miał poza tym duży kawałek ziemi sięgający od ulicy Sobieskiego, między ogrodami rodzin Toczyńskich i Korpantych, do obecnej ulicy Limanowskiego. Nie jest mi wiadome, jak nabył tę ziemię, czy wykupił ją od mieszczan czy od miasta, czy też pochodziła, jak teren całej nowej wówczas ulicy Limanowskiego, z rozparcelowanego dworu Oborskich. Z ziemi tej Zuckerbrodt wydzielił parcelę, na której jego córka Sara Bilfeld wystawiła duży dom z poddaszem, a przy samej ulicy Sobieskiego wybudował również duży dom dla trzech innych zamężnych córek (obecna restauracja „Frezja”). Chyba najstarsza z tych córek, Chawa („Pinia”) Weissman, otrzymała w posagu resztę ziemi. Jej mąż Moj-

żesz uprawiał tę ziemię, chował krowę (krowy?), konia i drób, miał potrzebne zabudowania (stajnię i stodołę, które spłonęły w roku 1944, gdy w pobliżu ustawiła się bateria dział, najpierw chyba niemieckich, następnie - radzieckich). Mojżesz poza tym zarabiał jako woźnica i sprzedawał współwyznawcom koszerne mleko. Jednak ziemia, którą uprawiał, była mocno zadłużona, prawdopodobnie Chawę Weissman obowiązywały spłaty posagu siostr. Gdy zaczynała się w Mielcu budowa fabryki samolotów, niebawem wzrosły ceny ziemi i zapotrzebowanie na tereny budowlane.

Tak powstały nowe ulice, szczególnie ulica Limanowskiego i obecna ulica Wiejska, gdzie zamożniejsi mieszkańcy kupowali parcele i budowali domy. Wtedy Chawa i Mojżesz Weissmanowie wytyczyli na swej ziemi drogę dojazdową i sprzedali 5 lub 6 parcel, o powierzchni od 800 do 1800 m<sup>2</sup>. Resztę ziemi uprawiali aż do roku 1942. Pierwszą z tych parcel kupili moi rodzice pod budowę domu, stąd moje tak szczegółowe wiadomości na ten temat. (W postępowaniu spadkowym po śmierci mojej mamy w roku 1984 musiałam posłużyć się dokumentem kupna – sprzedaży parceli oraz dokumentem stwierdzającym, że parcela sprzedawana przez Chawę Weissman w 1936 roku jest uwolniona od zadłużenia.) Dokumenty te znajdują się obecnie w aktach mieleckiego sądu. Inne parcele kupiły wtedy trzy nauczycielki, nauczyciel z Chmielowa, z zamiarem osiedlenia się w Mielcu na emeryturze, oraz Żyd, prawnik czy lekarz, który z miejsca chciał przystąpić do budowy domu, pobudował nawet okazałą szopę. Po wojnie do swej posiadłości nie wrócił. Do budowy domu moich rodziców też nigdy nie doszło. Zanim uskładali pieniądze na ten cel, wybuchła wojna. Po roku 1956, gdy rozpoczął się nowy czas sprzyjający budowaniu, na tej parceli nie wolno już było budować. Rodzice pechowo wybrali słoneczną stronę drogi, a tymczasem po drugiej jej stronie parcele nabrały nowej znacznej wartości. W roku 2000 moja parcela i trzy inne w sąsiedztwie, podlegały wykupowi przez miasto, z przeznaczeniem na nową trasę, od ronda przy ulicy Kilińskiego w kierunku mostu.

### W domu Sary Bilfeld

Rodzice moi mieszkali wcześniej na Kresach i w Rzeszowie, gdzie pracował ojciec. Gdy w 1933 r. wrócili do Mielca, wynajęli mieszkanie w nowo wybudowanym domu Sary Bilfeld, jednej z córek Zuckerbrodta, przy obecnej ulicy Cichej. Mieszkali tam do roku 1938, do śmierci mego dziadka. W tym domu się urodziłam. Potem mieszkaliśmy u jednej z moich dwu babek, przy tej samej ulicy Sobieskiego (rodzice moi pobrali się „po sąsiedzku”). Sara Bilfeld była znaną w Mielcu hafciarką. Mówiono, że na budowę domu zarobiła haftem. Najznacześnie rodziny w Mielcu zamawiały u „Bilfeldki” haftowanie wyprawy dla córek: stopy pościeli, serwet, obrusów, ręczników, bielizny osobistej, bluzek i sukien. Sara zatrudniała uczennice. Niektóre z nich, zdolniejsze, wykonywały znaczną część roboty, ale większość zamówień Bilfeldowa wyżywała sama. Mieleckie amatorki haftowania zamawiały u niej, za odpłatnością, wzory i odbite na płótnie czy kanwie obrazy. Bilfeldowie chyba byli zadłużeni, bardzo potrzebowali pieniędzy. Żeby mieć dochód z wynajmu, oddali lokatorom najlepsze mieszkania, sami zajęli jeden duży pokój, od północnej strony, do którego wchodziło się przez kuchnię urządzonej w miejscu sieni, z pojedynczymi drzwiami bezpośrednio na zewnątrz budynku. Mieszkali tam z dwojgiem dzieci, dorosłym Sędrem i chyba dwunastoletnią Lajcią. W kuchni spały także stałe uczennice Sary, które wykonywały różne domowe prace.

Czynsze były wówczas bardzo wysokie. Właściciele lokali i kamienic czynszowych mieli niezły dochód. Hersz Bilfeld („Hersiek”) zajmował się tylko odbieraniem czynszu, bezwzględnym dyscyplinowaniem lokatorów i pilnowaniem, by Lajcia Bilfeld nie zadawała się z gojami. Bilfeldowie wynajmowali te dwa najlepsze mieszkania i mieszkanie na poddaszu. Rodzice moi byli pierwszymi lokatorami. Podobno w zimie trudno było dogrzać nasze mieszkanie, wysuszyć świeże jeszcze mury. Z innymi lokatorami Bilfeldów, (wśród nich byli też Żydzi, Borge- rowie) i z rodziną Weissmanów ro-

dzice moi byli zaprzyjaźnieni. Mojżesz Weissman i mój ojciec (choć znacznie od niego młodszy), mówili do siebie: „Mosiek” i „Maniek”. Mama moja z panią Borgerową i z „Pinią” Weissmanową wymieniały się przepisami kuchennymi. Zawsze też, z okazji żydowskich świąt, otrzymywała mace i różne specjalja, np. rodzaj biskoptu z gotowanych ziemniaków, tzw. „bubele”. Często też mama przyrządzała żydowskie potrawy, np. owo „bubele” oraz rybne pulpety i karpia „po żydowsku”. Nie zastanawiałam się wówczas, dlaczego mama nie częstuje Żydówkę naszymi potrawami (były one dla Żydów „trefne”). Nasi znajomi Żydzi bardzo ściśle przestrzegali prawa Mojżeszowego. O każdym ortodoksyjnym Żydzie moja babcia mówiła z szacunkiem, że jest „chuset”. Nie wiem, skąd takie określenie. Może to pomylenie słów: „chasyd” i „husyta”? Nam dzieciom tłumaczono, że pobożni Żydzi ściśle przestrzegają „Dziesięciorga Bożych Przykazań” i tylko nie wierzą w Chrystusa - Mesjasza, a wciąż czekają na Jego przyście.

Borgerowie mieli dorosłych synów. Pewnego razu rozeszła się wieść, że w ich domu była rewizja policji, ponieważ jeden z młodych Borgerów należał do nielegalnej żydowskiej (komunistycznej?) organizacji. Rodzina mego ojca była również zaprzyjaźniona z rodziną Lichtigów, właścicieli folwarku „Berdechów” k. Mielca. Ta przyjaźń zawiązała się jeszcze na początku I wojny światowej, gdy mój ojciec, jego bracia i siostra, przebywali u stryja w Otfi- nowie, wiosce nad Dunajcem. Mieli być tam bezpieczni, a znaleźli się w ogniu walk wrogich armii. Wraz z całą liczną rodziną Lichtigów, którzy tam w pobliżu mieli również folwark czy karcznię, uciekali przez pola, kryli się w ziemiankach, jedli wyrwane w polach buraki i ziemniaki. W latach 1939-1942, gdy mieleccy Żydzi byli jeszcze na względnej wolności i mogli zachować swoją własność, mój ojciec otrzymywał od Lichtigów z Berdechowa żyto do zmielenia na chleb. Później się dowiedział z „Wolnej Europy”, że słynny Józef Światło to jeden z jego młodych przyjaciół, Józef Lichtig.

### Po wybuchu wojny

Wybuch wojny zmienił wszystko. Po pierwszych bombardowaniach fabryki i stacji kolejowej rodzice dla bezpieczeństwa wysłali nas, dzieci, do podmieleckiej wsi. Nie przeżyliśmy wkroczenia Niemców do miasta, ani spalania żywcem Żydów modlących się w synagodze położonej o dwie ulice dalej od naszego domu, w odległości zaledwie kilkuset metrów. Wiedzieliśmy o tym, ale nie słyszeliśmy strzałów, nie widzieliśmy ognia i dymów, nie czuliśmy swądu palonych ciał. Ludzie w mieście byli przerażeni, przeżyli także pogrzeby tych, którzy zginęli w bombardowaniach i pogrzeb chłopca ustrzelonego z niemieckiego samolotu w drodze do Złotnik. Toteż podporządkowali się zaleceniom Niemców, by oznaczyć świętymi obrazkami nieżydowskie domy. Po powrocie do miasta zobaczyliśmy te obrazki na domach i „gwiazdy Dawida” na opaskach noszonych przez Żydów. Dziś szokuje, a nawet oburza myśl o takim braku solidarności z prześladowanymi, ale wszyscy wtedy jednakowo się bali. Poza tym odrębne to były społeczności. Samoizolacja Żydów, którzy bali się chrześcijańskich wpływów na swe dzieci i młodzież, a pragnęli zachować odrębność wiary i obyczajów, konflikty, choćby w dziedzinie handlu, nastroje antysemickie w części społeczeństwa, zrobiły swoje. Najsilniejszy jednak był strach.

Typowego żydowskiego getta w Mielcu nie było. Wielu Żydów wysiedlono z zajmowanych mieszkań, ale dotyczyło to także Polaków, jeżeli jakiś obiekt był Niemcom potrzebny. Zajęto także wszystkie szkoły. W pierwszych miesiącach wojny nie było nauki w żadnej szkole, nie tylko w gimnazjum. Nie pamiętam, czy nakazana przez Niemców akcja likwidacji żydowskiego cmentarza odbyła się już po wypędzeniu Żydów w 1942 r., czy też wcześniej. Na pewno jednak nie było to dzieło Polaków. Spotkało się z oburzeniem większości mieszkańców miasta. Głośno to komentowano. Oczywiście Niemcy nie niszczyli i nie wywozili macew swoimi rękami. Do tego służyły przymusowe prace i tzw. „szarwarki” konne.

### Wypędzenie

Dramatu Żydów dopełniły wydarzenia z marca 1942 r. Od dłuższego czasu chodzili pogłoski, że Żydzi zostaną wysiedleni do jakiegoś getta. Kilkakrotnie się nie sprawdziły, podobno za sprawą dużych okupów, jakie otrzymywali Niemcy. Chyba na dwa dni przed wysiedleniem jakaś żydowska rodzina, prawdopodobnie nowi lokatorzy Bilsfeldów w zajmowanym kiedyś przez nas mieszkaniu, prosiła o przechowanie w naszym domu pewnych rzeczy. Były to jakieś walizki i zawiązane tobołki. Rodzice się zgodzili, choć miejsca w naszym małym domku nie było. Zbudowany przez moich dziadków dla dwu osób „na starość”, mieścił wówczas naszą 6-osobową rodzinę i dwie rodziny wysiedlonych z Pomorza, w sumie 14 osób. Wieczorem w przeddzień wysiedlenia, owi Żydzi zabrali ten depozyt, uradowani, że wysiedlenia już nie będzie, bo ich starszyzna zapłaciła Niemcom dużą nową kontrybucję.

Rano nasza mama, idąc jak zwykle do kościoła, na Rynku zobaczyła, co się dzieje. Wróciła przejęta i zapłakana. Ratować rzeczy naszych sąsiadów już się nie dało. Wszystkie mieszkania i sklepy żydowskie zostały pozamykane i opieczętowane. Dopiero po opróżnieniu tych pomieszczeń przez specjalne ekipy, upoważnionych Niemców i „volksdeutsche”, zabieraniem resztek zajęli się szabrownicy z miasta i okolicznych wsi. Mama ubolewała, że nasi sąsiedzi nie dość nam zaufali, a zaufali Niemcom. Nikt wówczas nawet nie pomyślał, że Żydzi nie wrócą, choć widziano, jak brutalnie byli wysiedlani. Wypędzanie, nie tylko Żydów, było przecież już znane; w Mielcu od grudnia 1939 r. mieszkali wysiedleni „Poznaniacy”. Z depozytu sąsiadów Żydów w naszym domu pozostała tylko męska jesionka, przez lata przetrucana z miejsca na miejsce, aż zjadły ją mole, i budzik, taki sam jak nasz. Zegarkiem kiedyś zajął się mój brat z kolegami. Chcieli zobaczyć, jak funkcjonuje, rozkręcili, ale pozostało im kilka śrubek, które oczywiście poginęły.

Po jakimś czasie jedna z dwu wysiedlonych z Pomorza rodzin wyprowadziła się z naszego domu do żydowskiego mieszkania, podobnie było z innymi wysiedlonymi. Gospodarstwo Weissmanów otrzymała chłopska rodzina z dwoma synami i inwentarzem,

z wioski dość odległej od Mielca, (prawdopodobnie za jakieś specjalne zasługi dla Niemców). Jedno z mieszkań w tym domu zajmował niejaki Miller. Był jawnym kolaborantem i donosicielem. Rodzice kazali się go wystrzegać, podobnie jak patrolującego w naszym rejonie żandarma Gabora. Obaj mówili dobrze po polsku. Gabor nosił zielony mundur jakiejś formacji niemieckiej, zawsze towarzyszył polskim policjantom („granatowym”), podobno ich kontrolował. Potem został w Złotnikach zastrzelony przez partyzantów, wraz z towarzyszącym mu policjantem. O Millerze mówiono po wkroczeniu armii radzieckiej, że został członkiem PPR, niebawem się wyprowadził i więcej o nim nie słyszano. Gdy opuściliśmy schron, nie było już także rodziny chłopskiej w domu Weissmanów.

### W domu Wiktorii Jochymowej

W tej samej ulicy, kilka domów dalej, „nad kanałem” mieszkała moja druga babcia. W najbliższym jej sąsiedztwie był stojący do dziś, obecnie niezamieszany dom Wiktorii Jochym. Właścicielka zajmowała z nieletnim synem i dorastającą córką jedno z mieszkań, drugie mieszkanie wynajmowała dość licznej rodzinie. Młody człowiek z tej rodziny jeszcze przed wojną, jak wysledziły wścibskie sąsiadki, interesował się Itą, córką sąsiadów Weissmanów. Po wysiedleniu Żydów w 1942 r. zauważono, że po pracy nigdzie nie wychodzi, nawet upalne niedziele spędza w ogródku, przy komórcie, w której przechowywano opał. Słyszałam, jak babcia mówiła do mojej mamy, że pewno schował tam Itkę Weissman. Wiktorii Jochym frontowy pokój w swym mieszkaniu wynajęła dwóm młodym kobietom, które gdzieś pracowały. W Mielcu tak wielu było wówczas ludzi obcych, przede wszystkim wysiedlonych z Poznańskiego i Pomorza, że nikt się temu nie dziwił, nikt o nic nie pytał. Także babcia wynajmowała pokój pani w średnim wieku, o nazwisku „Kryńska”, która pracowała w Rynku jako kasjerka w „pasztecziarni” profesorskiej Wagnerowej. Pani Kryńska była wdową, zawsze była ubrana na czarno, jako lokatorka nie sprawiała kłopotów, nadto była bardzo pobożna, regularnie bywała w kościele, także na nabożeństwach majowych i na różańcu, regularnie płaciła czynsz. Nie miała żadnej



### Dramat porzucenia wiary

Ita Weissman i jej wybawca bardzo się kochali, mieli mądre i dobre dzieci. Ita wytrwała w przyjętej wierze, bardzo dbała o chrześcijańskie wychowanie dzieci. Sąsiedzi, także moja rodzina, z zadowoleniem przyjęli ją w społeczności chrześcijańskiej. Jednak nasze wyobrażenie o jej decyzji było nieco naiwne. Ze zdumieniem i oburzeniem dowiadaliśmy się, że spotykały ją także nieprzyjemności z racji jej pochodzenia, że bardzo te nieprzyjemności przeżywała. Zaprzyjaźnionym ludziom, także mojej mamie, zwierzała się, że jej rozterki wynikają między innymi z dramatycznego pożegnania z matką. Matka odwróciła się od niej. Wiedziała, że chłopak uratuje jej życie, ale Ita zmieniła wyznanie. Tylko ojciec Ity Mojżesz próbował do ostatniej chwili jeszcze ją widzieć i pożegnać. Działo się to prawdopodobnie w Bełczu na rampie, gdzie wylądowywano skazanych na zagładę. Rodzice Ity tam zginęli, jej brat Sender zginął w Pustkowie.

Z różnych historii Żydów można się dowiedzieć, czym było dla nich porzucenie wiary ojców. Tewje Mleczarz („Skrzypek na dachu”) z powieści Szolema Alejchemy (Rabinowicza) wybaczył wszystkim córkom, że nie ułożyły sobie życia według jego wyobrażeń, nawet tej córce, która porzuciła wiarę w Boga i uwierzyła w komunizm. Nie wybaczył tylko tej, która została chrześcijanką. Trzeba było mieć siłę przekonań Romana Brandstaettera i Edyty Stein, żeby przejść z judaizmu na chrześcijaństwo. Wielki umysł XX wieku, Simone Weil, również studiami i przemyśleniami przekonana do chrześcijaństwa, nie zmieniła jednak wyznania przez solidarność ze swym narodem, który skazano na zagładę w samym sercu chrześcijańskiej Europy. Edyta Stein, święta Kościoła Katolickiego, także nie chciała ratować tylko siebie, musiała podzielić los swego narodu.



*W tym domu przy ulicy Sobieskiego i w zburzonej niedawno stojącej w jego podwórzu komórce ukrywała się Ita Weissman i Anna Gorczarek (fot. W. Gąsiewski)*

rodziny, tylko podobno córkę w Łodzi, z którą prawie nie utrzymywała kontaktu.

Późną jesienią chyba tego samego 1942 roku, w domu Wiktorii Jochym Niemcy w towarzystwie polskiego policjanta przeprowadzili rewizję, ktoś doniósł, że dwie lokatorki Jochymowej to krakowskie Żydówki. Podobno zrobiła to handlarzka, która je rozpoznała. Przy tej rewizji znaleziono ukrytą w komórce Itę Weissman. Wszystkie trzy Żydówki, a także Jochymową i rodzinę jej lokatorów - zabrano. Wszystkich czekała śmierć, nikt w to nie wątpił. Jednak Jochymowa i jej lokatorzy - wrócili. Sąsiedzi nie pytali. Było jasne, że Niemcy wzięli łapówkę od młodego lokatora Jochymowej, bo trudnił się handlem i miał pieniądze, a Itę Weissman ukrył w innym miejscu, gdyż po przejściu frontu wróciła do rodzinnego domu. Ita została chrześcijanką, wyszła za mąż z swego wybawcy, nosiła chrześcijańskie imię i nazwisko męża. Sąsiedzi byli pewni, że dwie krakowskie Żydówki rozstrzelano.

Zupełnie niedawno dowiedziałam się, że jednak przeżyły, a na pewno jedna z nich przeżyła wojnę, nazywała się Anna Gorczarek. Znała ją z pobytu w Mielcu Maria Liniewiczowa (Podolska), bywała w jej mieszkaniu u Jochymowej, wiedziała, że jest Żydówką i że bardzo się boi, że zostanie rozpoznana. Po wojnie spotkała ją w Świnoujściu: mieszkała w luksusowej willi, pracowała na wysokim stanowisku w Urzędzie Bezpieczeństwa. Oplakiwała ukochanego syna, który, ukryty gdzieś w Tarnobrzegu, nie przeżył. Maria Liniewi-

czowa z wdzięcznością mówi o pomocy, jaką otrzymała od Anny Gorczarek w czasie swego pobytu w Świnoujściu. Anna miała wyższe wykształcenie, znała kilka języków, pochodziła z bardzo bogatej mieszczańskiej rodziny krakowskiej i to ona zapewne, oraz jej koleżanka, wykupiły się od śmierci. Wielbiciel Ity Weissman nie miał tak dużych pieniędzy, żeby te trzy kobiety wykupić. W wywiadzie udzielonym historykowi mieleckich Żydów Stanisławowi Wanatowiczowi Ita Weissman nie wspominała o Annie Gorczarek i jej towarzyszcze.

Sprawa ta znana była w mojej rodzinie szczególnie. W czasie rewizji u Jochymowej, która miała miejsce w odległości 5 metrów od domu mojej babci i była obserwowana z okien, lokatorka pani Kryńska dostała nerwowego ataku. Odtąd babcia wiedziała, że pani Kryńska jest Żydówką. Bardzo się bała, ale nie pytała o nic. Pani Kryńska pracowała nadal, nie wiadomo, czy w pasztecziarni. Niedawno dowiedziałam się, że pasztecziarnię kupił i prowadził potem ktoś inny. Prawdopodobnie profesorowa Wagnerowa zmieniła miejsce pobytu. Mówiono, że także była Żydówką. Jej mąż zginął w Katyniu, profesorowa była nauczycielką, między innymi wychowawczynią w mieleckim Seminarium Nauczycielskim Żeńskim. Gdy tylko Sowici weszli do Mielca, pani Kryńska pożegnała się i wyjechała. Napisała jeszcze kartkę z pozdrowieniami i ślad po niej zaginął.